

EBERHARD SCHULZ
Poznań

RFN PO ZMIANIE RZĄDU

W październiku 1998 r. rząd niemiecki utworzony po wyborach do *Bundestagu* po raz ostatni objął swój urząd w Bonn. Jeszcze w trakcie urzędowania nastąpi jego przeniesienie do Berlina. Ten przełomowy moment w historii Niemiec jest okazją do postawienia pytania, czego można oczekiwać w przyszłości od Niemców. Czy zmiana faktycznej stolicy z Bonn (przy zachodniej granicy) do Berlina (przy wschodniej granicy) ma znaczenie polityczne, a jeżeli tak – to jakie? Naturalnie politycy niemieccy mają wszelkie powody ku temu, aby tego rodzaju pytania – stawiane często z niepokojem – ucinąć jednym zamachem ręki; i mogliby to uzasadnić wieloma przyczynami. Niezależny obserwator nie ułatwi tak sobie sprawy; będzie unikał postrzegania rzeczy w kategorii czarno-białe i weźmie pod uwagę również czynniki oddziałujące długoterminowo, a także możliwe wpływy zewnętrzne na rozwój Niemiec.

W polskiej opinii publicznej aż po kręgi rządowe jeszcze na krótko przed wyborami 27 września 1998 r. panowała nadzieja, że cieszący się zaufaniem kanclerz federalny Helmut Kohl, wbrew wszystkim niekorzystnym dla siebie wynikom badań opinii publicznej, ponownie zwycięży. Z nastawieniem tym wiązały się obawy, że rząd socjaldemokratyczny będzie prowadził politykę mniej korzystną dla Polski. Być może ta ocena wynikała stąd, że w 1970 r. Willy Brandt swoją pierwszą umowę wschodnią zawarł nie z Polską, lecz z ZSRR, i że dopiero Helmut Kohl w 1990 r. uznał ostatecznie zachodnią granicę Polski. Prawdopodobnie zostało przy tym przeoczone, że to socjaldemokrata Brandt był tym, który w 1970 r. z własnej woli ukląkł w warszawskim getcie w geście pokory – czego nie przekazuje nam historia o żadnym innym mężu stanu – oraz że to chrześcijański demokrat Kohl był tym, który przeszkodził w traktatowym uznaniu przez Brandta utraty byłych terenów niemieckich na Wschodzie i zwlekał z tym później, z uwagi na taktykę wyborczą, aż do możliwie ostatniego momentu. Przypomnienie tego faktu mogłoby być użyteczne, gdyż jeszcze raz pokazuje, że to raczej subiektywne (błędne) oceny mogą określać myślenie polityków niż wielokrotnie zaprzysięgane „obiektywne interesy” ich państwa.

Czy Polska po powstaniu czerwono-zielonej koalicji rządowej ma do czynienia z innymi Niemcami? To pytanie jest zupełnie zasadne i zasługuje na staranne wyjaśnienie. Ostatecznie zmiana jest bardzo widoczna. W pół wieku po powstaniu Republiki Federalnej Niemiec zdarzyło się, że nie tylko po raz pierwszy podczas wyborów koalicja rządowa całkowicie przegrała, lecz jednocześnie „odwołana” została też cała generacja. Po raz pierwszy urzędują w Bonn – a wkrótce i w Berlinie – politycy, którzy wyrosli po II wojnie światowej i którzy sytuację Niemiec postrzegają ze znacznie mniejszym zakłopotaniem niż ich poprzednicy. Czy będzie to miało raczej skutki negatywne w postaci lekkomyślnego relatywizowania zbrodni nazistowskich, czy też raczej pozytywne w postaci rzeczywistego zaakceptowania obecnego terytorium państwa, na to trzeba będzie jeszcze poczekać.

Jednakże należy przyjrzeć się tu nie tylko krótkoterminowym aspektom, choćby nawet ze zrozumiałych względów budziły one najwięcej uwagi. A już zupełnie nie jest wskazane, by dać się ponieść emocjom, które tak łatwo zagłuszają rozum ludzki i w polityce odgrywają często fatalną rolę. W pogłębionych rozważaniach należy raczej spróbować naświetlić ów historyczny moment, w którym dokonała się zmiana w Bonn i objaśnić zależności polityczne w szerokim tego słowa znaczeniu. Dlatego trzeba sobie wpiერw uprzytomnić, co oznacza, że Europa XX wieku jeszcze nie całkiem pozostawiła za sobą epokę państw narodowych. Można przedstawić to tutaj naturalnie tylko w dużym skrócie i bardzo ogólnie.

Polityka zagraniczna w epoce państw narodowych

Ważną cechą epoki państw narodowych, wbrew pozorom, które przekazują media, jest prymat polityki wewnętrznej. Oznacza to, że polityka zagraniczna określana jest z reguły przede wszystkim przez motywy wewnątrzpolityczne. To stwierdzenie wymaga krótkiego uzasadnienia. W epoce systemów feudalnych, poprzedzających epokę państw narodowych aż do końca XVIII w., władza legitymizowana była przez to, że pochodziła od Boga, co znajdowało odbicie w zasadzie dziedziczości. Oprócz własnego interesu, władcy uprawiali swą politykę w interesie danej dynastii i niekoniecznie potrzebowali przy tym mieć wzgląd na swych poddanych. Nie było żadnego instytucjonalnego podziału władzy. Niebezpieczeństwo groziło władcom co najwyżej ze strony członków ich własnej dynastii lub z zewnątrz. Dlatego też uprawiali oni bardziej lub mniej przejrzystą „politykę gabinetową” i często z żądzy zysku skłaniali się ku prymatowi polityki zagranicznej. Realistyczna ocena i wzgląd na korzystną sytuację utrzymywały w ryzach militarną agresywność i tylko u niektórych władców zagłuszane były żądzą sławy.

Rewolucja Francuska kierowała się przeciw samowoli książąt i przekształciła systemy feudalne poprzez demokrację w państwa narodowe. Odtąd

polityka władców musiała być legitymizowana w imię (rzekomych) interesów ogólnonarodowych, których naturalnie nie można zdefiniować jednoznacznie ani pod względem treści, ani procedur. Ponieważ sprawujący władzę w demokracji dochodzą do niej poprzez wybory, toteż muszą się starać o pozyskiwanie dla siebie wyborców. Wskutek tego, przy podejmowaniu wszelkich decyzji politycznych – także w ich polityce zagranicznej – mają na uwadze nastroje panujące wśród swych wyborców. Stąd bierze się prymat polityki wewnętrznej. Tylko w wyjątkowych przypadkach u kogoś z nielicznych rzeczywistych mężów stanu, bądź kobiet-polityków, można mówić o tej, tak często przypisywanej „architekturze” polityki zagranicznej, a więc o pewnej planowo kształtowanej polityce zagranicznej.

Dlatego tak wielu polityków koncentruje się w swej polityce zagranicznej na dobrze brzmiących pod względem moralnym frazesach (np. wypowiedane rytualnie i bez czekania na jakikolwiek skutek żądanie przestrzegania praw człowieka w Tybecie lub Iranie), na niewiążących obietnicach dotyczących odległej przyszłości (np. podanie roku przystąpienia Polski do Unii Europejskiej) lub na działaniach, które nie będą drażnić żadnej z grup interesu we własnym kraju. Tych banalnych faktów nie powinien tracić z oczu żaden obserwator, próbujący oceniać politykę zagraniczną różnych rządów bońskich. Oprócz tego należy wziąć jeszcze pod uwagę specyficzne sytuacje i przypadkowe czynniki, takie jak chociażby charaktery czołowych polityków.

Koniec pewnej ery

Helmut Kohl był po Otto von Bismarcku drugim kanclerzem niemieckiej jedności. Z tego tytułu zyskał wielkie poważanie w świecie. W Polsce cieszy się on ponadto pewną sympatią jako kanclerz porozumienia polsko-niemieckiego, a nawet jako adwokat Polski w przystąpieniu do Unii Europejskiej i *NATO*. Podobnie jak Konrad Adenauer, Kohl jest nie tylko znakomitym taktykiem, który odparował wszystkie skierowane przeciwko niemu próby wewnątrzpartyjnego puczu, ale też Europejczykiem z przekonania. Jako taki miał do początku lat dziewięćdziesiątych duże zasługi w utrzymaniu jedności *NATO* i dalszym rozwoju UE.

Wielki przełom był – prawdę mówiąc – także przełomowy dla Kohla. Przez 16 długich lat, od 1982 r. był bońskim kanclerzem federalnym – dłużej niż Adenauer, Charles de Gaulle i wszyscy prezydenci USA, niemal tak długo, jak Breżniew był szefem partii (od 1964 do 1982) oraz równie długo, jak *SPD* była dotąd partią współrządzającą w rządzie bońskim (od 1966 do 1982). Zjednoczenie Niemiec nastąpiło nie tylko wskutek jego starań, lecz wpadło mu ono nieomalże w ręce. W każdym razie bez polityki odprężenia prowadzonej przez jego socjaldemokratycznego przeciwnika, bez odwagi i fantazji myślących kategoriami wolnościowymi obywateli w NRD,

bez działań Michaiła Gorbaczowa i Eduarda Szewardnadze oraz bez szczerego wsparcia ze strony Ronalda Reagana, jak wreszcie bez dalekowzrocznego zaufania ze strony nowych demokratycznych przywódców Polski, z trudem by do tego doszło.

Od początku lat dziewięćdziesiątych lokomotywa procesu zjednoczenia Europy – jaką był rząd federalny od czasu Adenauera – wyczuwalnie straciła parę i istnieje groźba, że zostanie wykorzystana przez gospodarcze grupy interesów dla ich własnych celów. Staraniom Bonn o stabilne bezpieczeństwo europejskie brakuje coraz bardziej wcześniejszego zaangażowania i niezbędnej dozy wyobraźni. Wielorakie, nowe problemy światowe we wszystkich dziedzinach życia, które ujmowane są najczęściej pod hasłem „globalizacji” i których oznaki rozwiązania jak dotąd trudno dostrzec, wysunęły się na plan pierwszy i w sposób dramatyczny zawężyły zdolność działania wszystkich rządów narodowych. Uwarunkowane zwłaszcza strukturalnie masowe długotrwałe bezrobocie, ograniczające szanse życiowe szczególnie ludzi młodych wkraczających w życie zawodowe, prowadzi coraz bardziej do rozłamu w społeczeństwie. Jednocześnie pod wpływem wielu czynników wyłania się pewien kryzys demokracji: po pierwsze, naród w społeczeństwie medialnym narażony jest na wpływ skomercjalizowanego i psychologicznie w sposób wyrafinowany sterowanego kształtowania opinii publicznej. Po drugie, pozbawieni skrupułów politycy wykorzystują (podobnie jak przy zbieraniu podpisów przeciwko podwójnemu obywatelstwu) obawy istniejące w społeczeństwie dla demagogicznych kampanii i poprzez podsycanie emocji, zagrażają zdolności narodu do podejmowania własnych, suwerennych decyzji. Po trzecie wreszcie, w gremiach parlamentarnych wydaje się zanikać zdolność do konstruktywnej opozycji.

W ostatnich latach w rządzie Kohla dało się zauważyć pewne zadziwiające ożywienie niemieckiej, egoistycznej retoryki narodowej. Można to było odczuć choćby w domaganiu się stałego miejsca Niemiec w Radzie Bezpieczeństwa ONZ (zamiast przedstawienia wspólnego stanowiska UE w Radzie Bezpieczeństwa przez Wielką Brytanię i Francję) lub wzbranianiu się przed odgrywaniem dużej roli „płatnika” w UE (zamiast wykorzystania tego atutu dla pilnych, koniecznych i politycznie skomplikowanych reform strukturalnych UE).

Podobnie jak większość szefów rządów w Europie, Kohl zrezygnował z zajęcia się problemami wydającymi się nie do rozwiązania i uciekł się do pustych frazesów („kwitnące krajobrazy” we wschodnich Niemczech) oraz do tanich obietnic („Polska zostanie wkrótce członkiem UE”), jak też do niebezpiecznego patosu (zwiększona „odpowiedzialność” zjednoczonych Niemiec), w które wielu ludzi uwierzyło, ponieważ jak okiem sięgnąć nie dało się zauważyć żadnej innej alternatywy. Kohl zyskał sobie w Niemczech sławę niedoścignionego mistrza w „przeczekiwaniu” problemów. W Niemczech obywatele (i niektórzy z ich zagranicznych kolegów) tak się w końcu do niego

przyzwyczajali, że wielu osobom wydawał się niezastąpiony. Kiedy w 1998 r. Niemcy go wreszcie nie wybrali, to zerwali nie tylko z „kanclerzem jedności”, lecz także z całą jego generacją, mając nadzieję na pewien nowy początek, który umożliwiłby sprostać napierającym problemom.

Nie należy się więc dziwić, że o zmianie władzy zdecydowały w nie mniejszym stopniu wyniki wyborów w nowych krajach federalnych. Tam zachodnia CDU wraz z dawną niesamodzielną wschodnią CDU (*Blockflötenpartei*), która w czasach NRD była przede wszystkim przedłużonym ramieniem panujących komunistów, mogła nienaruszoną organizację partyjną wykorzystać najpierw dla swoich potrzeb. Jednakże pomimo olbrzymiego transferu kapitału z zachodnich do wschodnich Niemiec, CDU nie dostrzegła tego, że należy zapobiec nadproporcjonalnemu wzrostowi bezrobocia we wschodniej części Niemiec. Przeciwnie: bońska polityka gospodarcza doprowadziła do tego, że istniejące we wschodnich Niemczech przedsiębiorstwa, uprzywilejowane ze względu na niemal całkowity brak przedsiębiorstw usługowych (hurtownie, reklama, opakowania etc.) i przy braku doświadczeń w działaniu w warunkach gospodarki rynkowej, zostały w dużej mierze wchłonięte przez koncerny zachodnioniemieckie lub zlikwidowane. Tak więc istniejące początkowo zaufanie społeczeństwa wschodnioniemieckiego, które wzrosło szczególnie silnie po nieodpowiedzialnym zrównaniu marki wschodnioniemieckiej z zachodnioniemiecką latem 1990 r., szybko zostało utracone.

Co więc oznaczała „dojrzała odpowiedzialność” zjednoczonych Niemiec, o której w ostatnich latach tak często się mówiło? Byłoby dużym nieporozumieniem dopatrywać się w tym sloganie powrotu do wilhelmińskiej manii wielkości jako skutku zjednoczenia, chociaż niektórzy intelektualści chętnie przypominali tę funkcjonującą wcześniej w Republice Federalnej sentencję o rzekomym „odżegnywaniu się od władzy” (*Machtvergessenheit*). „Dojrzała odpowiedzialność” nie powinna oznaczać nic więcej, jak sprawienie, by obywatele nabrali poczucia, że podniósł się prestiż ich państwa. Frazes ten wykorzystywany był jednoznacznie dla uzyskania korzyści wewnątrzpolitycznych: miał on wzmocnić zaufanie obywateli do rządu, a tym samym służyć utrzymaniu władzy przez koalicję rządzącą. Zjednoczenie nie oznaczało bowiem politycznego nowego początku dla wszystkich Niemców, lecz rozszerzyło jedynie dawną Republikę Federalną politycznie i gospodarczo na wschód poprzez przyłączenie wschodnich krajów federacji.

Postrzeżenie wyników wyborów przez kraje sąsiednie

Poza granicami Niemiec wynik wyborów przyjęty był bardzo różnie. W ramach UE Niemcy postąpiły w pewnym sensie zgodnie z ogólnym trendem, bowiem w latach dziewięćdziesiątych w większości państw UE nastąpiła zmiana rządu z konserwatywnego na socjaldemokratyczny. Ale

znaczenie tej zmiany było jednak bardzo różnorodne: w Wielkiej Brytanii zmiana rządu była daleko idącą konsekwencją charyzmy, jaką promieniował Tony Blair, który konserwatywną politykę swego poprzednika modyfikuje jednak w sposób bardzo ostrożny. Natomiast Lionel Jospin we Francji uważany jest za dogmatycznego przedstawiciela lewicy, który jednak w *cohabitation* z konserwatywnym prezydentem i w obliczu trudnej sytuacji budżetowej posiada niewielkie pole manewru w zakresie innowacji politycznych. W USA natomiast dominowała prawdopodobnie początkowo nieufność, gdyż Bill Clinton jest co prawda jako demokratą uważany według wzorców amerykańskich raczej za przedstawiciela lewicy, ale politycznie demokraci amerykańscy bliżsi są z pewnością bardziej CDU niż SPD.

W Polsce wreszcie wielu intelektualistów bliskich kręgom obecnej koalicji rządzącej skłania się ku temu, by w socjaldemokracie widzieć politycznie bardzo niepożądane ugrupowanie. Niektórzy przypominają, że czołowi politycy socjaldemokratyczni, jak Willy Brandt i Helmut Schmidt, nie szukali przed przełomem kontaktu z Lechem Wałęsą i opozycją w Polsce, ale wspierali politycznie i finansowo komunistów. Pomijają przy tym fakt, że pokojowy upadek komunizmu radzieckiego, przynajmniej do połowy lat osiemdziesiątych, nie był bynajmniej jedyną możliwą do przewidzenia wizją przyszłości oraz że dla polityków niemieckich utrzymanie pokoju miało absolutnie nadrzędne znaczenie, ponieważ każda wojna mogłaby zetrzeć z powierzchni całą Europę Środkową.

Czerwono-zielona koalicja i jej pole działania

Dla wielu osób zadziwiające jest pierwsze wrażenie, jakie nasuwa się obserwatorom bońskiej sceny politycznej, wrażenie raczej kontynuacji niż jakiegoś burzliwego przełomu w nieznaną. W każdym bądź razie dotyczy to polityki zagranicznej. Czy mogłoby być inaczej – pomimo nowej generacji u steru – w obliczu trwałego związania Niemiec ze strukturami zachodnimi? Ponadto administracja państwa niemieckiego składa się nie tylko z czołowych polityków, lecz także z całego wprawionego aparatu zarządzania, który opiera się na urzędnikach pełniących swą służbę dożywotnio. Sami tylko urzędnicy polityczni, którymi są w ministerstwach przeważnie kierownicy działów, których mogą wprowadzać nowi ministrowie, wywodzą się z reguły z ogólnego aparatu urzędniczego i wnoszą swą nabytą wiedzę fachową. O ile w latach pięćdziesiątych wcale nie mała część urzędników ministerialnych pochodziła z pruskich kancelarii berlińskich okresu wojennego i przedwojennego, tak od następnego dziesięciolecia bardzo duża liczba urzędników ministerialnych wywodzi się z Nadrenii i wnosi swą specyficzną nadreńską kulturę polityczną.

Nadreńska kultura polityczna kształtowana jest nie tylko pod wpływem pogodnego krajobrazu, lecz nosi wciąż jeszcze ślady tradycji napoleońskiego związku nadreńskiego, duchowej orientacji zachodniej, która znacznie ułatwiła polityczne związanie dawnej Republiki Federalnej z Zachodem oraz zdobycie zaufania u rządów partnerów zachodnich. Zachodnio- i południowoniemieccy kanclerze federalni Konrad Adenauer, Ludwig Erhard, Kurt Georg Kiesinger i Helmut Kohl mieli w Bonn łatwiejszą sytuację niż ich koledzy z północy Niemiec, Willy Brandt i Helmut Schmidt. Pod rządami północnoniemieckiego kanclerza federalnego Gerharda Schrödera przeprowadzka do Berlina wraz z naturalnym powiększeniem się o lokalny, berliński personel administracyjny, będzie miała z pewnością większy wpływ na elementy prusko-północnoniemiecko-protestanckiej kultury politycznej, ale nic nie przemawia za jakąś „wilhelminizacją” lub za jakąś nową „odrębną drogą niemiecką”, przynajmniej tak długo, dopóki europejscy partnerzy integracyjni oraz USA nie zostawią Niemców na łasce losu. Bezproblemowe przejście rządu federalnego na miejsce dotychczasowych partii opozycyjnych pokazało raczej, że demokracja zapuściła w Republice Federalnej trwalsze korzenie, niż się niektórzy spodziewali. Państwo prawa i podział władzy stały się trwałymi częściami składowymi Republiki Federalnej. Dotyczy to także udziału w integracji europejskiej oraz lojalności wobec partnerów w *NATO*.

Ten, kto w przeciągu 16 lat kanclerzowania Kohla przyzwyczyił się do traktowania rządu koalicji konserwatywnej jako czegoś niezmiennego, oczywiście, ten uzna za godne uwagi, jak gładko dokonała się demokratyczna zmiana władzy po wyborach w 1998 r. Hasłem „Bonn to nie Weimar” już w latach pięćdziesiątych dano wyraźnie do zrozumienia, że demokratyczne ramy porządku społecznego zostały w zachodniej części Niemiec mocno osadzone pod czujnym okiem zachodnich mocarstw okupacyjnych i późniejszych aliantów. Przed następnymi wyborami do *Bundestagu* obecna koalicja rządząca będzie musiała jednak zawnoczyć sobie sprawę z tego, że za pomocą zapowiadanych dotąd środków nie będzie w stanie podolać podstawowym problemom społecznym i psychologicznym w nowych krajach federacji skuteczniej niż rząd poprzedni. Na niewiele zda się jej przy tym fakt, że rzeczywiście przeniesie stolicę Niemiec do Berlina w okresie bieżącej kadencji. Również ten rząd dopóty, dopóki nie zmieni swego nastawienia do wschodnich krajów federacji nie będzie odbierany przez społeczeństwo wschodnie jako coś nowego, jako rząd „Republiki Berlińskiej”, lecz jako rząd „Wessis”.

Nawet jeśli „Berlin nie stanie się Bonn” – tak jak Bonn nie był Weimarem – Republika Federalna Niemiec nie zmieni się radykalnie ani ze względu na wynik wyborów z 1998 r., ani z powodu przeprowadzki rządu do Berlina w następnych latach. Jednocześnie jednak będzie miała do czynienia z problemem podziału Wschód-Zachód we własnym kraju

oraz z ogólnonarodowym podziałem społecznym góra-dół. Tak więc będzie narazona na większe obciążenia niż w całym okresie jej dotychczasowego istnienia.

Wraz z dawnym *Bundestagiem* większość społeczeństwa w 1998 r. odrzuciła stare pokolenie i jego środowisko bońskie. Nowa koalicja rządząca, w której pierwszych chaotycznych poczynaniach wyczuwa się naiwność Zielonych, poprzez opublikowanie swej umowy koalicyjnej dała ważny sygnał tego, że zwykle działanie zakulisowe chce zastąpić większą przejrzystością¹. Rząd federalny zadziwiająco szybko zabrał się do pracy. Obiecał nową politykę, jednakże przełom moralny, jaki cechował początek pierwszego rządu Brandta, do tej pory jest mało widoczny; trudno go też oczekiwać ze strony charyzmatycznego taktyka, jakim jest Schröder. Również w kręgach słabszej CDU mówi się co prawda wiele o nowym początku, ale prawdziwego nastroju przełomu (który naturalnie o wiele trudniej jest wzbudzić w łonie opozycji) jednak się nie odczuwa. A już zupełnie nie można mówić o wielokrotnie cytowanej „współpracy demokratów” polegającej na świadomym ponoszeniu odpowiedzialności, podziale pracy między rząd i opozycję. Dokonana bez zakłóceń pierwsza rzeczywista zmiana władzy nie może zmylić. Być może kryzys społeczny musi być jeszcze głębszy, aby obudzić demokratów (zresztą nie tylko w Niemczech) z ich snu śpiącej królowy.

Wprawdzie członkom nowego rządu może brakować jeszcze doświadczenia w kierowaniu dużym państwem (choć kanclerz Schröder, wcześniejszy premier Dolnej Saksonii ma poczucie odpowiedzialności, jaka spoczywa na rządzie), to są jednak świadomi tego, że ich pole manewru we wszystkich dziedzinach polityki jest bardzo ograniczone. W pierwszym półroczu 1999 r. Niemcom przypadło w udziale przewodnictwo zarówno w Radzie Europejskiej UE, jak też w Unii Zachodnioeuropejskiej (WEU) oraz podczas szczytu G-7 lub G-8. Kto oczekiwał, że nowy rząd federalny wykorzysta te okazje, by przyspieszyć rozwiązanie wielu drążących problemów polityki światowej, rozczarował się jednak. Ogromny rozmiar aktualnych problemów na Bałkanach ograniczył znacznie czas niezbędny do podjęcia podstawowych zadań.

Tak czy owak ów młody, nowy rząd federalny, wprowadzi zintegrowane z Unią Europejską Niemcy, w XXI wiek. Będzie on w znacznie mniejszym stopniu niż wszyscy jego poprzednicy dźwigał na sobie moralne brzemie okresu hitlerowskiego, lecz miejmy nadzieję, że nie zapomni doświadczeń historycznych. W każdym razie podjął on swą pracę z młodzieńczym zapałem i w godnym uwagi tempie. W polityce wewnętrznej, gospodarczej i społecznej już w pierwszych tygodniach urzędowania nadał bieg wielu projektom ustawodawczym. Rzeczywiście natychmiast ujawniły się nie tylko obiektywne granice ich pola działania, ale też ograniczenia w różnych dziedzinach. W sferze polityki podatkowej oraz w kwestii energii atomowej, okazało się bardzo

¹ „Blätter für deutsche und internationale Politik” nr 12/1998, ss. 1521-1552.

szybko, że rozbudzone podczas walki wyborczej oczekiwania, nie będą mogły być zrealizowane albo w ogóle, albo nie tak szybko, jak się tego spodziewano. Co się tyczy polityki podatkowej, to Federalny Trybunał Konstytucyjny dwoma decyzjami podjętymi w styczniu 1999 r. dotyczącymi równomiernego rozłożenia podatków rodziny (*Familienlastenausgleich*) spowodował nieoczekiwane nowe miliardowe luki w budżecie publicznym.

Swym odważnym zamiarem zrezygnowania z energii jądrowej, rząd federalny dał sygnał, który wywołał powszechnie nową dyskusję wokół tej kwestii. Energia jądrowa była dotąd przez dziesiątki lat używana do wytwarzania prądu, przy czym przedsiębiorstwa nie potrzebowały martwić się dalszymi kosztami. Ba, rządy zrezygnowały nawet w sposób nieodpowiedzialny z tego, ażeby zgodę na budowę reaktorów uzależnić od rozwiązania problemu w miarę bezpiecznego (pośredniego i ostatecznego) składowania odpadów nuklearnych. Ta inicjatywa rządu federalnego wywołała wzburzenie najważniejszych partnerów w UE, Francji i Wielkiej Brytanii, ale być może przyczyniła się do tego, że wreszcie problem ten jest obecnie poważnie rozważany również w tych krajach. Co prawda rząd federalny będzie się musiał teraz uporać nie tylko z mnóstwem problemów prawnych w odniesieniu do firm zajmujących się oczyszczaniem odpadów nuklearnych we Francji i Wielkiej Brytanii, lecz będzie też musiał stoczyć walkę z potężnymi koncernami energetycznymi w Niemczech.

Pomijając zainicjowanie procesu odstąpienia od energii atomowej, czerwono-zielony rząd federalny bardzo szybko postawił też nowe akcenty na jeszcze innym ważnym polu, mianowicie w polityce wobec obcokrajowców – natomiast bez przygotowania na to psychologicznie społeczeństwa. Obwieścił swój zamiar wprowadzenia ułatwień w przyznawaniu obywatelstwa obcokrajowcom i tym samym rozluźnienia wreszcie problematycznego *ius sanguinis*. Ponadto chce on dostosować się do istniejących niemal wszędzie w Europie realiów, czyli wymieszania się grup narodowych (*Volksgruppen*) tak dalece, jak tylko możliwe jest zalegalizowanie w określonych przypadkach i pod określonymi warunkami, podwójnego obywatelstwa. Właśnie w stosunku do Niemców, Polaków i Czechów z ich wielowiekową wspólnotą losów i częstymi przesunięciami granic byłoby to – gdyby się udało – ważnym krokiem naprzód, któremu opozycja poprzez swą akcję zbierania podpisów – zapewne głównie ze względów populistycznych, zwłaszcza w łonie *CSU* – przeciwstawiła, niestety z poważnym sukcesem, uwsteczniłą retorykę narodowościową. Skądinąd czerwono-zielony rząd federalny nie potrzebuje chyba zważać na czołowych działaczy związków wypędzonych.

Osobliwością nowego kanclerza i jego ministra spraw zagranicznych Josefa („Joschki”) Fischera jest, nie doceniana należycie przez ich partnerów oraz w opinii publicznej, wrażliwość na emocje sąsiadów w Polsce i w Czechach. Zarówno Schröder, jak i Fischer wykorzystali – po raz pierwszy w historii Republiki Federalnej – najbliższą nadarzającą się okazję, by przedstawić się

w Warszawie, Pradze i Moskwie, dając tym samym do zrozumienia, że nie chcą traktować narodów wschodnio- i środkowoeuropejskich oraz Rosjan jedynie jako zjawisko marginalne w polityce europejskiej. Podczas tych wizyt nie ograniczyli się też do czystych gestów uprzejmościowych lub chępnili się wspólnymi pobytami w saunie, lecz w sposób poważny i szczerzy, bez składania fałszywych obietnic, poruszali szczególnie ważny dla ich partnerów temat poszerzenia Unii Europejskiej. Niestety raczej wzmocnili przez to jeszcze bardziej zastrzeżenia swych polskich partnerów. Zbyt mało zostało też odnotowane przez opinię publiczną jeszcze inne zdarzenie. Otóż już w pierwszych tygodniach rządów nowej koalicji prezydent Republiki Federalnej Roman Herzog zaoferował bardzo ostrożnie rządowi izraelskiemu i Organizacji Wyzwolenia Palestyny (OWP) poparcie ze strony Niemiec w staraniach o porozumienie. Zgodnie z konstytucją niemiecką, prezydent federalny nie posiada własnych uprawnień w zakresie polityki zagranicznej. Na dodatek Herzog, który naraził tu swój wysoki prestiż, jaki zawdzięcza swej osobistej prawości i swemu doświadczeniu, bliski jest kręgom opozycyjnej CSU, może więc działać tylko wspólnie z rządem. Żaden wcześniejszy rząd niemiecki w obliczu zbrodni nazistowskich popełnionych na Żydach, nie wykazał odwagi, by zaangażować się w konflikt izraelsko-palestyński. Można żywić tylko nadzieję, że ta pierwsza próba konstruktywnego przezwyciężenia przeszłości, będzie kontynuowana.

Duże znaczenie wewnątrzpolityczne ma fakt, czy czerwono-zielona koalicja zdoła odzyskać w trakcie swej legislatury większość w *Bundesracie*, którą utraciła uprzednio po wynikach wyborów do *Landtagu* w Hesji. Podobnie jak rząd Kohla, nie może zresztą przeprowadzać ważnych projektów ustaw, a zwłaszcza swej reformy podatkowej, wbrew opozycji. Nie należy lekceważyć federalnej struktury RFN. Wobec przedstawicielstwa krajów rząd federalny nie może robić co chce, nawet jeśli reprezentowani są przez te same partie. Z punktu widzenia rządów krajowych niektóre problemy inaczej się przedstawiają. Tak więc nowy minister federalny spraw wewnętrznych, Otto Schily, nie może wprowadzić w życie swego zamiaru, zniesienia inwigilacji nie mającej znaczenia politycznego postkomunistycznej PDS przez organa ochrony konstytucji krajów federacji. Kilka krajów rządzonych przez socjaldemokratów natychmiast oświadczało, że będą nadal kontynuować obserwacje w ramach swych kompetencji, podczas gdy w Meklemburgii-Pomorzu Przednim partia PDS wchodzi nawet w skład koalicji rządzącej.

Ważna kwestia, która w przypadku poprzedniego, konserwatywnego rządu nie odgrywała, dzięki wybitnej osobowości Kohla, praktycznie żadnej roli, dotyczy wewnętrznej stabilności partii rządzących. Czy na przykład fundamentalistyczne skrzydło *Bündnis 90/Die Grünen* zgodzi się z wymaganiami stawianymi przez pragmatyczne skrzydło *Realos*, np. w odniesieniu do daleko idących żądań ekologicznych? Czy lewica SPD będzie potrafiła stłumić swą

awersję do wysoce pragmatycznego programu kanclerza Schrödera? Jak dotąd wszystko na to wskazuje, nawet jeśli w pierwszych miesiącach urzędowania miały miejsce w ramach koalicji ożywione debaty dotyczące polityki finansowej i podatkowej. Wprowadzenie nowej „Rady Partyjnej” (*Parteirat*) przez Zielonych, w której zniesiony został ścisły dotąd rozdział między stanowiskiem rządowym (*Regierungsamt*) a mandatem partyjnym, powinno oddziaływać stabilizująco, zwłaszcza że Zieloni muszą się najpierw wykazać prestiżowym sukcesem w absolutnie dla nich ważnej kwestii, jaką jest rezygnacja z energii nuklearnej.

Godnym uwagi jest także fakt, iż rząd nie uległ rozłamowi podczas rozważania, nasyconych emocjami kwestii, dotyczących rezygnacji z wprowadzenia broni nuklearnej w doktrynie *NATO*, jak również kwestii włączenia żołnierzy *Bundeswehry* do działań w Kosowie. Jeśli chodzi o priorytetowy i na wskroś trudny problem zwalczania masowego bezrobocia, to poczyniono pierwsze kroki na korzyść młodych ludzi podejmujących życie zawodowe oraz bezrobotnych we wschodniej części kraju, jednak „Sojusz na rzecz pracy” (*Bündnis für Arbeit*), w którym zasiąść powinny przy jednym stole pod przewodnictwem kanclerza związku przedsiębiorców oraz związku zawodowe pracowników, ma jeszcze przed sobą próbę udowodnienia swej skuteczności. Schröder wykazał zadziwiającą odwagę, kiedy zaraz po objęciu urzędu oświadczył, iż sukces swej polityki chce oceniać miarą efektów w zwalczaniu bezrobocia. Można się w tym dopatrywać dowodu na młodzieńczą beztroskę, której być może przyjdzie im wkrótce żałować.

Lojalność wobec partnerów Sojuszu

Nowa wojna na Bałkanach postawiła rząd federalny przed problemem, którego zasięg jest nie do przecenienia. Podobnie jak Konrad Adenauer przy tworzeniu *Bundeswehry* i przyłączeniu RFN do *NATO* czy Helmut Schmidt, ustosunkowując się do stacjonowania amerykańskich rakiet średniego zasięgu w Niemczech, musiał Schröder podjąć w najwyższym stopniu niepopularną decyzję dotyczącą uczestnictwa *Bundeswehry* w wojnie przeciw Jugosławii. W tym przypadku doszedł dodatkowy utrudniający element, iż mamy tu do czynienia z pierwszym nie tylko wojennym działaniem w historii *NATO*, lecz także w dziejach RFN. Ponadto trzeba było dokonać wyboru między jednoznacznym naruszeniem prawa międzynarodowego przez *NATO* a akceptowaniem bestialskiej polityki Miloszewicza. Przy czym wielu fachowców (w tym wysokiej rangi wojskowi USA) sceptycznie oceniało perspektywę planowanej wojny powietrznej. Rząd federalny i zdecydowana większość posłów do *Bundestagu* zarówno koalicji, jak i opozycji słusznie jednak uznała, iż każde ociąganie się może w niebezpieczny sposób oddziaływać na współpracę z *NATO* i obecność amerykańską w Europie. Obie zaś siły, *NATO*

i obecność amerykańska w Europie są dla europejskiego bezpieczeństwa niezbędne – przynajmniej tak długo, dopóki Unia Europejska nie umocni się i nie skonsoliduje. Godne zauważenia jest przy tym, iż rządu nie podzieliło nawet tak wysoce poddane emocjom zagadnienie, jak idea J.Fischera rezygnacji z pierwszego uderzenia bronią nuklearną w doktrynie *NATO*.

O ile trudno jest zdefiniować pole do działania w polityce wewnętrznej, o tyle jasno określają go warunki ramowe polityki zagranicznej. Wraz z ich przesunięciem na wschodnie tereny Niemiec, rząd federalny z pewnością nie zbliży się przez to politycznie bardziej ku Rosji, a oddali w zamian od Francji i USA. Zapewne jednak należy liczyć się z tym, że rząd berliński będzie wykazywał więcej zrozumienia dla problemów Europy Środkowowschodniej i Wschodniej. Nie jest prawdopodobnie przypadkiem, że „nowa polityka wschodnia”, która w latach siedemdziesiątych służyć miała jedności Niemiec i zapoczątkowaniu wreszcie porozumienia ze wschodnimi sąsiadami, zainicjowana została przez Niemca z północy i wcześniejszego burmistrza Berlina Zachodniego, Willy Brandta. Republika Federalna Niemiec posiada teraz pod względem geopolitycznym pozycję kluczową z uwagi na największy potencjał narodowy w centrum Europy.

Naturalnie nie może ona wykorzystywać tej pozycji dowolnie dla interesów niemieckich. Właśnie dlatego, że położona pośrodku, otoczona jest dziewięcioma słabszymi państwami, natychmiast w razie podjęcia próby nadużycia swojego potencjału, sprowokowałaby utworzenie koalicji wszystkich sąsiadów przeciwko Niemcom. To właśnie polityczna i militarna obecność USA jest tym czynnikiem, który stabilizuje sytuację Niemiec w Europie. Kluczowa geopolitycznie rola Niemiec jest też korzystna ze względów militarnych dla samych Stanów Zjednoczonych, dla których Niemcy stanowią ważne centrum logistyczne dla ich polityki wobec Europy i Bliskiego Wschodu. Ze swym stacjonującym tu potencjałem militarnym i logistyczną infrastrukturą *NATO*, USA mogą strzec swej pozycji czołowego mocarstwa w tej części świata, bez konieczności uciekania się do groźby użycia broni nuklearnej. W obliczu tej konstelacji, każde podjęte w polityce zagranicznej działanie Niemiec, które pomijałoby ramy wyznaczone przez *NATO* i kompetentną rolę USA w sojuszu, byłoby samobójstwem. Nowy rząd federalny jest tego świadom w takim samym stopniu, jak jego poprzednik.

Tymczasem *NATO* w 50. rocznicę swego istnienia (taki okres jest dla sojuszu obronnego czymś absolutnie wyjątkowym) nie jest już takie samo, jak było jeszcze przed dziesięciu laty. Tym, co utrzymywało wówczas sojusz w zwartości, był wspólny, niemal egzystencjalny strach przed agresją ze strony komunistycznego Związku Radzieckiego. Po rozpadzie ZSRR strach ten przestał istnieć, nawet jeśli chaos w Rosji daje powody do rozmaitego niepokoju. Jest to jedna z istotniejszych przyczyn, dla których *NATO* dyskutuje nad nową doktryną. Liczba znaczących ze względów militarnych

zagrożeń bezpieczeństwa w świecie z pewnością w międzyczasie raczej wzrosła, ale żadne z nich nie stanowi zagrożenia egzystencjalnego wspólnie dla wszystkich członków *NATO*. W konsekwencji oznacza to, że nie można już liczyć w równej mierze na obowiązek wzajemnego świadczenia pomocy tak, jak wcześniej.

Ten stan rzeczy ma oczywiście największe znaczenie dla tych państw członkowskich, które położone są na wschodnich krańcach sojuszu, w przyszłości więc przede wszystkim dla Polski. *NATO* ważne jest dla Polski ze względów egzystencjalnych, lecz nie w przypadku konfliktu militarnego z obecną Rosją. Polski minister spraw zagranicznych, Bronisław Geremek, słusznie stwierdził, że Polska sama musi się starać o ukształtowanie konstruktywnych stosunków ze swymi wschodnimi sąsiadami, zwłaszcza z Rosją, a także Białorusią, Ukrainą oraz państwami bałtyckimi. *NATO* jest obecnie znaczącym, wręcz jedynym militarnym czynnikiem bezpieczeństwa wobec konfliktów regionalnych, takich jak te na Bałkanach po rozpadzie Jugosławii, jakkolwiek ten rodzaj działań sojuszu wcale nie jest przewidziany w układzie *NATO*. Poza tym *NATO*, dzięki politycznej i militarnej obecności USA, chroni Polskę i wszystkie inne państwa członkowskie Europy, przed ponownym rozpętaaniem wewnątrz europejskich waśni narodowych. Jednakże właśnie najnowsze zaostwienie się serbsko-albańskiego konfliktu w Kosowie wskazuje na granice, jakie wiążą się z możliwościami użycia broni militarnej, gdy konflikt ma być przewyciężony na trwałe. Często przekłam można osiągnąć tylko za pomocą środków politycznych.

Przy ocenianiu roli *NATO* w kwestii bezpieczeństwa Polski należy uwzględnić również problem nuklearny, który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych doprowadził do ożywionych, teoretycznych dyskusji wewnątrz sojuszu, chociaż wtedy nie miało to prawie żadnego praktycznego znaczenia. Prezydent USA (wraz z *NATO*) znajdował się wówczas w stosunku do sowieckiego szefa partii (wraz z Paktem Warszawskim) w sytuacji swoistego pojedynku. Na wskroś realistyczna ocena tego nuklearnego pata pokazywała, że praktycznie istniało tylko dwóch globalnych przeciwników i że uderzenie nuklearne jednego przeciwko drugiemu wywołałoby natychmiast kontratak, zanim jeszcze rakiety pierwszego osiągnęłyby terytorium drugiego. Ta pewność stanowiła całkiem skuteczny czynnik odstraszenia przed użyciem broni jądrowej, a nawet przed wojną obu sojuszy przeciwko sobie.

Mimo to, USA szukały dla siebie swego rodzaju dodatkowego zabezpieczenia w formie broni nuklearnej średniego zasięgu, którą zamieściły w Europie i która sprawiała, że u Europejczyków pojawiło się widmo „odłączenia” USA od systemu bezpieczeństwa Europy oraz poczucie „luki wiarygodności” (*Glaubwürdigkeitslücke*) względem środków odstraszenia. Czy aby dawni „panowie” na Kremlu nie wpadną znów na pomysł, by ograniczyć się do ataku na Europę za pomocą broni „konwencjonalnej”, nie naruszając

terytorium USA, a tym samym odwrócenia skutków nuklearnego pata przeciwko Zachodowi? Czyż nie oznaczało by to, podobnie jak groźba amerykańska dotycząca totalnej wojny nuklearnej przeciwko agresorowi w odległej Europie, pewnego „samozastraszenia” sojuszu? W sposób absurdalny doktryna *NATO* wychodziła wówczas z założenia, że Związek Radziecki podczas ataku w Europie pójdzie na całkowicie nieobliczalne ryzyko rozpoczęcia działań wojennych najpierw z użyciem broni konwencjonalnej i ograniczenia ich do utworzenia frontu w centrum Europy, oraz że *NATO* musi zastrzec sobie prawo pierwszego użycia broni nuklearnej, aby móc zniszczyć wroga posiadającego przewagę w broni konwencjonalnej. Teoretycy *NATO* spodziewali się wówczas, że z pomocą broni średniego zasięgu oraz doktryny „pierwszego uderzenia”, zapewnią sojuszowi „kontrolę nad eskalacją”, a więc, że zastrzegą sojuszowi decyzję co do tego, czy i kiedy oraz jak konflikt militarny miałby z początkowej fazy „konwencjonalnej” eskalować w wojnę nuklearną. Powinno to również wzmocnić działanie odstrasżające.

Z dotychczasowych wewnętrznych kontrowersji sojuszu należy wyciągnąć trzy nauki na przyszłość:

– Po pierwsze, broń jądrowa traktowana jest przez rządy, które nią dysponują, jako broń „narodowa”. Partnerzy sojuszu nie mogą liczyć, że państwa posiadające broń nuklearną użyją jej w każdym przypadku dla zażegnania ich konfliktów. Odnosi się to tym bardziej do sytuacji, gdy przeciwnik również dysponuje taką bronią. W dużym stopniu działa tu pat nuklearny i w odniesieniu do skutków odstrasżania istnieje „luka wiarygodności”.

– Po drugie, istnienie broni nuklearnej średniego zasięgu w Europie oznacza śmiertelne niebezpieczeństwo dla przetrwania narodów środkowoeuropejskich, ponieważ mogłoby tu dojść faktycznie do odłączenia zachodnich mocarstw peryferyjnych zaopatrzonych w broń nuklearną, podczas gdy Europa centralna, w razie gdyby zawiodła taktyka odstrasżania, uległaby w przypadku konfliktu militarnego, zagładzie.

– Po trzecie, sytuacja pojedynku jaka charakteryzowała pierwsze cztery dziesięciolecia *NATO* już nie istnieje. Obecnie inne potęgi, z którymi *NATO* mogłoby popaść w konflikt, dysponują bronią masowej zagłady i nie do wszystkich przywódców tych państw można mieć zaufanie, że w swych decyzjach dotyczących rozwiązywania konfliktów będą się kierowali racjonalnymi argumentami (jak chociażby argumentem dotyczącym sytuacji pojedynku i samozagłady w przypadku agresji). Zachowanie Hitlera jest przykładem na to, że polityczny pokerzysta może zapomnieć o ryzyku własnej zagłady, jeśli widzi choćby tylko jedną szansę zastraszenia przeciwnika. Tak więc obstawanie przy możliwości pierwszego użycia broni nuklearnej utraciło przez to w dużym stopniu swój efekt odstrasżający. Takie jest tło dyskusji w *NATO* nad doktryną pierwszego uderzenia. W tym kontekście powinna być rozumiana ostrożna sugestia ministra spraw zagranicznych Fischera, aby ponownie przemyśleć skuteczność tej doktryny.

UE przed rozszerzeniem. Co się stanie z Europą Wschodnią?

Do istotnych warunków ramowych polityki niemieckiej należy także integracja europejska. Po wielkim sukcesie wprowadzenia *euro* w części państw członkowskich nie dostrzega się często, że integracja jeszcze nie została zakończona, a co więcej popadła w głęboki kryzys. Podczas gdy zwolennicy teorii funkcjonalnej w latach sześćdziesiątych sądzili, że integracja osiągnęła już *point of no return*, czyli że jest tak dalece zaawansowana, że nie ma już odwrotu, tak w międzyczasie musieliśmy się nauczyć, że takie racjonalistyczne podejście lekceważy istotę polityki. Niepowodzenie integracji europejskiej byłoby w epoce broni masowej zagładą wprawdzie dla wszystkich Europejczyków fatalne w skutkach, nie da się go jednak niestety całkiem wykluczyć. Dla obywateli Niemiec zrozumienie tego faktu nie stanowi problemu, lecz wielu obywateli krajów sąsiednich jeszcze nie w pełni zdaje sobie sprawę z tego, że trwała integracja europejska leży co najmniej tak samo w ich własnym interesie jak i w interesie Niemiec. Zwłaszcza wewnętrzna struktura Unii Europejskiej stwarza ochronę mniejszym państwom przed ewentualnym przegłosowaniem przez większe. Gdyby UE w toku swego poszerzania, miała się zdegenerować do zwykłej strefy wolnego handlu, mogłoby z tego wynikać na dłuższą metę zagrożenie dla polityki bezpieczeństwa, które naturalnie dotknęłoby przede wszystkim mniejsze narody, ale z pewnością nie tylko te.

Od długiego czasu pilność pogłębienia Unii Europejskiej nie ulega wątpliwości dla wielu racjonalnie myślących i świadomych odpowiedzialności polityków w krajach członkowskich. Znane są też problemy, jakie trzeba będzie rozwiązać w trakcie pogłębienia. Jednakże niezbędne decyzje nie zostały jeszcze podjęte. I tak np. uzgodniona już w zasadzie wspólna polityka zagraniczna i polityka bezpieczeństwa istnieje wciąż jeszcze tylko na papierze. Przeszkody tego są różnorakiej natury i sięgają od myślenia kategoriami prestiżu narodowego i mrzonek o nie istniejącej już od dawna absolutnej suwerenności państw aż po niezbite, finansowe interesy partykularne. Te zaś z trudem dają się pokonać, ponieważ dotychczasowe reguły wspólnoty w kwestiach dotyczących istotnych interesów narodowych, nadal wymagają jednomyślnych decyzji wszystkich rządów państw członkowskich Unii. Rządy zaś ze swej strony, mając na uwadze swych wyborców, baczą jedynie na swe ponowne wybory. Świadomość szerokich mas wyborców ukształtowana jest z kolei – pomijawszy całkiem zrozumiałe interesy szczególne natury materialnej – jeszcze bardzo głęboko przez myślenie kategoriami narodo-państwowymi, które jednak bardzo powoli dostosowuje się do zmieniającej się rzeczywistości.

Tak więc nie ulega wprawdzie wątpliwości, że dotychczasowy podział wydatków w poszerzonej UE jest nie do utrzymania, jednak główni odbiorcy subwencji agrarnych oraz pomocy na rozwój regionalny, bronią się zaciekłe

przeciwko każdej nowej regulacji w kręgu dotychczasowych członków, która prowadziłaby do zredukowania ich przychodów. Jednocześnie czerwono-zielony niemiecki rząd federalny przejął od swego czarno-żółtego poprzednika żądanie większej sprawiedliwości w kwestii wysokości składek członkowskich. Również i on domaga się, nie chcąc być posądzony, że zaniedbuje interesy narodowe, zmniejszenia nieproporcjonalnie wysokich wpłat strony niemieckiej do kasy wspólnoty, podczas gdy brytyjski rząd laburzystowski z tych samych powodów nie chciałby zrezygnować z ulg, jakie przeforsowała konserwatywna premier Margaret Thatcher. Przestrzegając zasadę *fair* należy przyznać, że wchodzi tu w rachubę nie tylko tani populizm, ale że powszechne nadmierne zadłużenie budżetów publicznych stawia ministrów finansów przed prawie nierozwiązywalnymi problemami.

Nie mniej ważne jak kwestie finansowe są kwestie strukturalne. Komisja Europejska ze swym podziałem komisarzy i dyrektorów generalnych była dostosowana do starej wspólnoty sześciu państw-założycieli. Już dotychczasowe rozszerzenia Wspólnoty do tego stopnia rozděły Komisję, że nie jest już zdolna do podejmowania szybkich i jednoznacznych decyzji, a na dodatek rozwinęła potężną, nieprzejrzystą machinę biurokracji, stanowiącą bujną pożywkę dla narodowego nepotyzmu i ogólnej korupcji, o czym świadczą najnowsze zarzuty przeciwko dwóm jej komisarzom. Ograniczenie tejże biurokracji do jakichś sensownych wymiarów nie jest wcale zadaniem łatwym w obliczu myślenia kategoriami prestiżu. Nikt nie może zakwestionować tego, że najnowsze poszerzenie UE bez rozwiązania problemu jej struktur doprowadziłoby do absurdu.

Wszystkie te aspekty związane z pogłębieniem Unii muszą być uregulowane przedtem, zanim weźmie się odpowiedzialność za jej rozszerzenie, ponieważ odwrotna kolejność lub też choćby tylko próba jednoczesnego pogłębienia i rozszerzenia Unii, byłaby, właśnie z powodu stanu świadomości narodowej kandydatów do przystąpienia, skazana z dużą dozą prawdopodobieństwa, na niepowodzenie. Ponadto właśnie najnowsze zarzuty o korupcję pokazały, że rola Parlamentu Europejskiego powinna być rozszerzona, jeśli organ brukselski nie ma stracić swej demokratycznej legitymacji. Trzeba też wreszcie na nowo rozważyć podział zadań dotyczących procesu decyzyjnego w dłuższej perspektywie pomiędzy Radą Europejską lub Komitetem Stałych Reprezentantów rządów narodowych a Komisją Europejską.

Tymczasem konkretnie dostrzegalne jest już w zasadzie trwale postanowione rozszerzenie UE, w pierwszej kolejności o Polskę, Czechy, Węgry, Estonię i Cypr, a później też o dalsze państwa. Prawdopodobnie już w drugim dziesięcioleciu następnego wieku Unia będzie obejmować niemal wszystkie państwa środkowowschodnio- i południowowschodnioeuropejskie, przy czym jeszcze tylko dalsze jej rozciągnięcie na kraje Europy Wschodniej (bez Rosji) trudno jest przewidzieć. Naturalnie nie powinno się przy tym tracić z oczu

pierwotnego, głównego celu, czyli traktowania integracji, jako najwyższej formy wspólnoty bezpieczeństwa. Warunkiem osiągnięcia sukcesu tego wymagającego projektu jest wspomniana już zmiana świadomości od myślenia kategoriami narodowo-państwowymi do myślenia rzeczywiście kategoriami europejskimi, co stawia duże wymagania również wobec kierownictwa politycznego oraz elit intelektualnych Polski. Dla Polski proces ten jest dlatego tak szczególnie trudny, ponieważ dopiero pod koniec epoki państw narodowych mogła się ona uwolnić od podziału i panowania obcych mocarstw. Świadomość narodowa mogła się więc niezbyt długo opierać na doświadczeniach własnego państwa, lecz musiała się zadowolić surogatem nasyconej uczuciami romantyki historycznej, która opromieniała tożsamość narodową w sposób niemal mistyczny.

Polskę może rozczarowywać fakt, że niemiecka polityka bilateralna wobec jej wschodniego sąsiada plasować się będzie również w przyszłości dopiero za polityką NATO i polityką UE. Jednakże z Polską jest podobnie: również dla niej przystąpienie do NATO i UE jest ważniejsze niż bilateralne stosunki z Niemcami. Stwierdzenie to nie oznacza więc zdewaluowania konieczności porozumienia i współpracy między Niemcami i Polakami. Po tym, jak uporano się w istocie z palącymi kwestiami spornymi dotyczącymi przeszłości, której niemal wszystkie ofiary opuściły już ziemski padół, trzeba w przyszłości borykać się z niespektakularną normalnością. Również i to nie jest zadaniem łatwym; wymaga ono dużo dobrej woli i zaangażowania obywateli.

Jeszcze dalej w tle plasują się stosunki Niemiec wobec Rosji, Białorusi i Ukrainy, które dziś nie poruszają już problemu egzystencjalnego; za to jednak u wielu Niemców wywołują współczucie dla ludzi zamieszkujących te państwa, którzy muszą przechodzić okropne cierpienia z powodu różnych zjawisk towarzyszących fazie przejściowej tworzenia nowego systemu rządu. Udamremnienie, w miarę możliwości, tworzenia się nowej przepaści pomiędzy bogatą i demokratyczną UE a jej biednymi sąsiadami na wschodzie, pozostanie, w obliczu nieszczęść, jakie wyrządziły tam Niemcy hitlerowskie, moralnym zadaniem polityki niemieckiej.

Ograniczenie pola działania przez transnarodowych aktorów oraz zadłużenie państw

Wcale niełatwa do przeniknięcia, ale dlatego też nie mniej ważna, jest kwestia ograniczenia pola działania rządów przez transnarodowych aktorów. Dotyczy to naturalnie nie tylko Niemiec, lecz wszystkich państw, również tych, które wyobrażają sobie, że posiadają jeszcze w pełni suwerenność narodową. Chodzi tu o wielkie koncerny, które poprzez potężne spekulacje mogą spowodować wywołanie kryzysów, takich jak te, które nawiedziły w ostatnich latach Amerykę Łacińską lub wschodnią i południowo-wschodnią Azję. Mogą też nadal, jako że w przeciwieństwie do siły roboczej, kapitał jest powszechnie

ruchomy, wymuszać na rządach, by szły im na rękę udzielając wszelkich możliwych koncesji przy przedsięwzięciach inwestycyjnych. Mogą wreszcie uchylać się na szeroką skalę od podatków państwowych. Ten stan rzeczy wytycza planowanym przez czerwono-zieloną koalicję w Bonn środkiem do zwalczania bezrobocia wąskie granice.

Jakie znaczenie polityczne zyskali owi transnarodowi aktorzy w latach dziewięćdziesiątych, pokazuje prosta obserwacja, iż zarówno w wypowiedziach rządu federalnego, jak też w mediach o wiele więcej mówi się o *Standort Deutschland*, czyli o jakości Niemiec jako siedzibie transnarodowych przedsiębiorstw, niż o niemieckich „interesach narodowych”, które można zmierzyć potencją państwa. Konfrontacja interesów przedsiębiorców z interesami narodowymi okazuje się przestarzałą ideologicznie konstrukcją; obie grupy interesów łączą się ze sobą nierozdzielnie w skomplikowanym związku, przy czym przedsiębiorstwa posiadają obecnie z reguły silniejsze atuty w ręku niż rząd państwa.

Innym ważnym problemem, ograniczającym zdolność działania rządu, jest nadmierne zadłużenie budżetu publicznego, które wskutek oportunistycznego ulegania rządów, wszędzie na świecie, oczekiwaniom dobrobytu ze strony ich obywateli oraz wskutek wyścigu zbrojeń w konflikcie Wschód-Zachód w ostatnich dziesiątkach lat, osiągnęło rozmiary zagrażające egzystencji. Dyskusja wokół możliwości państwa chociażby w zakresie zwalczania bezrobocia poprzez niecykliczną politykę wydatków, już od dawna utraciła swą podstawę, ponieważ rządy, od czasu *boomu* w latach sześćdziesiątych, wciąż, ze względów taktycznych lub na skutek oderwanych od rzeczywistości pomysłów, szafowały nowymi prezentami o długotrwałym działaniu wobec swych wyborców, zaś teraz nie czują się politycznie wystarczająco silne, by je odebrać w nowych czasach *boomu*. Tak oto zadłużenie wciąż się powiększało, a żaden rząd nie może w czasach stagnacji lub wręcz depresji powiększać krótkoterminowo w sposób istotny granicy wydatków bez ryzykowania niewypłacalności państwa.

U progu XXI wieku

Przełomy wieków lub nawet koniec tysiąclecia nie powodują naturalnie same z siebie przerwania kontynuowania procesów historycznych, ale budzą oczekiwania na nadejście czegoś nowego, stąd też posiadają duże znaczenie psychologiczne i polityczne. Jest to tym bardziej istotne, gdy – jak w przypadku nowego rządu niemieckiego – związane są ze zmianą pokoleniową oraz zmianą miejsca urzędowania. W tym kontekście wydaje się wskazane jeszcze raz krótkie spojrzenie wstecz oraz pokazanie widoków na przyszłość.

Wiek XX zakończył półwiecze wysokiej pozycji kulturalnej, politycznej, gospodarczej i militarnej mocarstw europejskich na całym świecie, a co się tyczy wewnętrznych spraw Europy, to wiek XX był dla niej, podobnie jak w dużej mierze już również wiek XIX, w pewnym sensie wiekiem „niemieckim”.

W pierwszej połowie tego wieku Niemcy próbowały wszelkimi środkami, wylamać się z dawnej konstelacji mocarstw i podbić Europę, co więcej wprowadzić „germańskie” panowanie nad światem. Zakończyło się to totalnym upadkiem Niemiec – militarnym, politycznym, a przede wszystkim moralnym. Druga połowa wieku wystawiła obie części Niemiec na zagrażające życiu ryzyko, wynikające z położenia po obu stronach podzielonego pod względem nuklearnym świata. Każdy bowiem konflikt militarny mógłby Europę Środkową – Niemców, oraz naturalnie także Polaków, Czechów i Słowaków – unicestwić fizycznie. Ale właśnie owa sytuacja państwa frontowego uczyniła Niemców, politycznie jeszcze zupełnie nie zdolnych do działania o własnych siłach, języczkiem u wagi w Europie. Tak więc dla partnerów każdej ze stron, stali się oni niezbędni i otrzymali nieoczekiwaną szansę przewyciężenia moralnego potępienia oraz przyjęcia do tworzącej się stopniowo wspólnoty państw rządzonych demokratycznie.

Z tego przykładu wynika geopolityczna przestroga: Niemcy, jako państwo narodowe położone w centrum Europy, są nierozdzielnie związane z politycznymi losami kontynentu, gdyż są zbyt silni, niż pozwala na to wewnątrz europejska równowaga sił, oraz zbyt słabi, by opanować całą Europę. To przeświadczenie doprowadziło pod koniec II wojny światowej do pewnej bezradności wśród zwycięskich mocarstw: nie znalazły one recepty na potraktowanie problemu niemieckiego, który nie dał się rozwiązać ani poprzez podział państwa, ani przez przesunięcie jego granic. Tak więc w strefie zachodniej zadowolili się najpierw kontrolą przemysłu surowców podstawowych (*Grundstoffindustrie*) oraz rozbiciem wielkich koncernów, podczas gdy Stalin w strefie wschodniej, opierając się na wpajanej przez niego ideologii, posłużył się środkami dyktatury totalitarnej. Jak często bywa w historii, tak też i problemu niemieckiego nie udało się przez to rozwiązać zgodnie z założonym celem, lecz został on wyparty na plan dalszy przez inny, mianowicie konflikt Wschód-Zachód.

Właściwe rozwiązanie problemu niemieckiego pojawiło się całkiem niezauważenie: poprzez stopniową transformację europejskiego ładu państwowego dokonującą się pod przemożnym wpływem rozwoju technicznego. Paradoksalnie właśnie Niemcom przypadła rola lidera podczas tych przeobrażeń. Ponieważ Niemcy, wskutek pychy, utracili w 1945 r. swą suwerenność narodową, to włączenie ich do integracji zachodnioeuropejskiej z jednej i do „oboju socjalistycznego” z drugiej strony, oznaczało dla nich ponowny rozkwit oraz wzrost ich politycznej zdolności działania, podczas gdy niemal wszyscy ich partnerzy musieli się uporać z bolesną utratą suwerenności.

Przede wszystkim dla Brytyjczyków, Francuzów i Polaków, nieunikniona rezygnacja z suwerenności podczas integracji z Unią Europejską, jeszcze dziś stanowi i prawdopodobnie przez wiele lat jeszcze będzie gorzkim problemem dostosowania świadomości politycznej do przemian politycznych w świecie, których nie da się zatrzymać. Brytyjczykom i Francuzom, którzy utracili w tym stuleciu swe rozsiane po świecie imperia kolonialne, z trudem przychodzi

znaleźć pociechę w fakcie, że zaliczają się do zwyczajnych mocarstw II wojny światowej, dysponują bronią nuklearną oraz posiadają stałą siedzibę w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Trudniej przyjdzie im naturalnie przeboleć fakt, że wraz z XX wiekiem utracą ostatecznie nie tylko swój status wielkomocarstwowy, lecz także swą niezależność polityczną i militarną, niż Niemcom, którzy doznali klęski moralnej za Hitlera.

Rząd niemiecki stoi w polityce międzynarodowej długofalowo przed dwoma szczególnie ważnymi wyzwaniem: Po pierwsze, powinien się zająć tworzeniem najpierw europejskiego, a później globalnego ładu bezpieczeństwa wpasowanego w szerszy kontekst, a po drugie, powinien – również i na tym polu we współdziałaniu z rządami innych państw – podjąć próbę wprowadzenia uniwersalnych reguł gry dla gospodarki rynkowej, jakie były skuteczne przed erą globalizacji w poszczególnych państwach. Tylko w ten sposób uda się stworzyć w jakimś stopniu konkurencję *fair* oraz zapobiec temu, by niektóre przedsiębiorstwa wykorzystując swą władzę, jaką posiadają na rynku, lub dzięki istnieniu „oaz podatkowych”, mogły się w dużej mierze uchylać od płacenia podatków. W gospodarce obowiązuje bowiem, podobnie jak w polityce konieczność zinstytucjonalizowanego podziału władzy. Tam gdzie jej brak, nie może być mowy o wolności.

Powrót do prowadzenia własnej narodowej polityki bezpieczeństwa jest jednak równie mało możliwy, jak odgradzanie się rynków narodowych poprzez politykę gospodarczą państwa. W każdym razie jak dotąd nie zarysowują się jeszcze, choćby z grubsza, zarysy dotyczące ani globalnego systemu bezpieczeństwa ani uniwersalnych reguł gry dla gospodarki rynkowej. Pozostaje więc tylko nadzieja na ruch wahadła historii. Każda tendencja polityczna niesie w sobie zarodki tendencji przeciwnej. Wahadło podąża zawsze od jednej skrajności do drugiej (nawet gdy pozycję ekstremalną osiągnie zawsze tylko w niewielu krajach), bez momentu zatrzymania się pośrodku (lub na jednej z pozycji ekstremalnych). Tak więc wahadło w polityce państw europejskich przeszło od rządów z „łaski bożej”, charakterystycznych dla władzy książąt absolutnych poprzez Rewolucję Francuską do demokracji (która jednak – podobnie jak w starożytnych Atenach – nie oznaczała władzy całego ludu, lecz władzę urzędzonego mieszczaństwa), aby później znów popaść nagle w skrajność, jaką był totalitaryzm narodowosocjalistyczny i stalinowski. W gospodarce można było zauważyć ruch wahadła zmierzający od liberalizmu manchesterskiego (*Manchester-Liberalismus*) XIX wieku do totalnie zbiurokratyzowanej, centralistycznie sterowanej gospodarki sowieckiej, dopóki wahadło nie odbiło się w kierunku wyraźnego egoizmu *share holder*. Również w kulturze oraz trendach mody dają się zauważyć podobne wahania. Na inteligencji spoczywa odpowiedzialność za to, by oddziaływać na opinię publiczną i polityków w taki sposób, aby otworzyła się szansa zapanowania nad zbyt ekstremalnymi odchyleniami wahadła.

Tłumaczenie: Maria Wagińska-Marzec